

Zofia Stefanowska

Białoszewskiego "Pamiętnik z powstania warszawskiego"

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (10), 128-138

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zofia Stefanowska

**Białoszewskiego „Pamiętnik
z powstania warszawskiego”**

„(...) nie trzeba było być aż poetą, żeby troiło się w głowie. A jeżeli mało piszę o wrażeniach. I zwyczajnym językiem wszystko. Tak jakby nigdy nic. Albo nie wchodzę w siebie prawie, czyli jestem jakby od wierzchu. To tylko dlatego, że inaczej się nie da. Że zresztą tak to siebie się czuło. I w ogóle to jest jedyny sposób, zresztą nie sztucznie wykombinowany, ale jedyny właśnie naturalny. Przekazania tego wszystkiego. Przez dwadzieścia lat nie mogłem o tym pisać. Chociaż tak chciałem. I gadałem. O powstaniu. Tylu ludziom. Różnym. Po ileś razy. I ciągle myślałem, że mam to powstanie opisać, ale jakoś przecież *opisać*. A nie wiedziałem przecież, że właśnie te gadania przez dwadzieścia lat — bo to jest największe przeżycie mojego życia, takie zamknięte — że właśnie te gadania, ten to sposób nadaje się jako jedyny do opisanie powstania”¹.

Gadanie

„Gadanie” Mirona Białoszewskiego to narracja maksymalnie bliska językowi potocznemu. Spośród kolokwialnych właściwości tej prozy wskażę niektóre narzucające się uwadze czytelnika: swobodną dygre-

¹ Cytuję według: M. Białoszewski: *Pamiętnik z powstania warszawskiego*. Wyd. 2. Warszawa 1971, s. 47—48.

syjność², dobór „niskiego” słownictwa, obfitość potocznych idiomów (przy starannej w obu wypadkach eliminacji językowych anachronizmów), ostentacyjną niedbałość stylu (np. stałe łamanie normy poprawnościowej przez powtarzanie tych samych wyrazów), rozbijanie narracji na zdania krótkie, eliptyczne, często jednowyrazowe, niekiedy rozmyślnie niepoprawne („Się zrywały”, s. 31), nadużywanie zaimków wskazujących; wreszcie nonszalancki stosunek do bohaterów, których imiona padają bez wstępnych objaśnień, co sprawia, że czytelnikowi narzucona zostaje rola kogoś dobrze wprowadzonego w koligacje i realia biografii narratora. Żeby tej roli sprostać, musi scalać rozproszone w tekście informacje, rekonstruować układy personalne, do których się autor odwołuje.

Wszystko to kieruje w stronę najzwyczajszej sytuacji narracyjnej: tak oto znajomym, a często przygodnym słuchaczom (w pociągu, w ogonku) opowiadało się i jeszcze opowiada o powstaniu. „Więc ja, Heńka, Jadzka — wylatujemy w Ogrodową (...)” (s. 30). Uchyłona została opozycja między biegłymi w werbalizacji wspomnień inteligentami a tymi, którzy ze swoich przeżyć zdają sprawę tak, jak się opowiada fabułę filmu: to... wtedy... ten...

W którymś miejscu nazywa Białoszewski swoją relację „historią wspólnego życia na tle możliwości śmierci” (s. 34). Wyrazem tożsamości zbiorowego losu jest niekiedy po prostu kategoria gramatyczna. Na przykład w opowiadaniu o wyjściu z Warszawy: „My sami byliśmy sobą zdziwieni. Że nas tyle” (s. 255). To na ulicy Śniadeckich. A dalej, już na Ochocie:” (...) powinien być ruch. Ale nie pamiętam. Bo

² Dygresyjny charakter mają nie tylko dłuższe fragmenty. Niekiedy w małych, kilkudzaniowych odcinkach autor przeżywa sam sobie, a jego wtrącenia realizują się jako wykolejenia składniowe: „Pamiętam siedzenie. Bierność. Tradycyjną. Niby tę od strzyżenia, golenia. Ta półciemnia. Autozjawa w lustrze. Czyli półwidok całej tej sceny. Posadzkę” (s. 224).

Zwykła
sytuacja
narracyjna

i tych nas drugich — od placu Zawiszy — nie” (s. 258). „My” i „my drudzy” — cała ludność wychodząca po kapitulacji.

Wspólnota

Przeważnie jednak w *Pamiętniku* gramatyczne „my” to wspólnota ograniczona i okazjonalna. Ulica, schron, najczęściej grupa kilkuosobowa: „(...) ile nas było? — Mama, on, ja, Celinka, Ciotka Uff. i Zbyszek — sześć!” (s. 72), „(...) wylecieliśmy: Zocha, Ojciec, Halina, Swen i ja (...)” (s. 243). Obok takich grup względnie trwałych kilkadziesiąt innych postaci: znajomi dawni i nowi przygodni, i znajomi znajomych, i ich rodziny, splot losów bezpośrednio poznanych i zasłyszanych. O tych zmiennych układach grupowych pisze autor: „(...) może beztrosko wychodzi u mnie zadzierzgiwanie i gubienie, mimowolne, moich różnych postaci dalszych, jeszcze dalszych, a nieraz bliższodalszych. Ale to tak było. Tak się gdzieś nagle gubili, jak się znajdowali. Byli bliscy przez ileś tam. Potem byli bliscy inni. Nagle się ich gubiło, a ważni byli nowi” (s. 67). Niektóre postaci obrastają w biografię wcześniejszą i popowstaniową. *Pamiętnik* jest gęsty od ludzi i ludzkich przypadków. Już sama suma przeżyć indywidualnych złożyć by się mogła na wizję przeżycia kolektywnego, gdyby obowiązywały tu prawa arytmetyki.

Dokument
doświadczeń
zbiorowych

Najważniejszym może czynnikiem, który nadaje *Pamiętnikowi* Białoszewskiego wartość dokumentu doświadczeń zbiorowych, jest odtworzenie tego, co on sam nazywa „materią życiową tamtego życia”. Podstawowe, powtarzalne sytuacje ludzkie: „Wyobrażanie sobie, co może być albo co na pewno będzie za chwilę, zajmowało chyba połowę myślenia. Reszta szła na załatwianie bieżących spraw, różnych, a to jedzeniowych, a to położeniowych się, nakryciowych” (s. 43). Ile i z jaką dokładnością mówi się w *Pamiętniku* o tych sprawach! Żywność, woda (problemy dramatycznie ogromniejące w miarę jak zbliżał się koniec każdej z osobna powstańczej dzielnicy), technika gotowania, mycie się, sposób zagospo-

darowania schronu, jego oświetlenie. Powstańcze wychodki, ze Starego Miasta i ze Śródmieścia, po tej i tamtej stronie Alej, epopeja prymarnych ludzkich potrzeb w warunkach, w których ich zaspokojenie wymaga heroizmu i kiedy już rozstrzygnąć nie sposób, co jest heroizmem z własnej decyzji, co zaś heroizmem wymuszonym na całej ludności oblężonego miasta. Nikt tak dokładnie, z takim poczuciem wagi opisywanego zjawiska, nie powiedział o życiu codziennym w schronach, a więc o tym, co było udziałem wszystkich, cywilnych i wojskowych mieszkańców powstańczej Warszawy. O ludzkich zachowaniach „w takich (bądź co bądź) godzinach śmierci” (s. 67). Bo stałym elementem życia codziennego schronów i najbardziej podstawową z podstawowych sytuacji było przeżywanie śmierci.

Przeżywanie
śmierci

Jest to w *Pamiętniku* cała dziedzina wiedzy narastającej pod wpływem doświadczeń własnych i cudzych, wiedzy na temat rodzajów śmierci, typologii obstrzału i bombardowania, techniki działań artyleryjskich i lotniczych poznanej od strony bombardowanych, nie bombardujących. I jest też wiedza o osłonach przeciwartyleryjskich i przeciwlotniczych, o architekturze kamienic warszawskich ocenianej z tego właśnie, osłonowego punktu widzenia, o wartości filarów, framug, żelazobetonu. Do tej wiedzy należy zaufanie do tzw. kleinowskich sklepień, wątek kilkakrotnie wracający w *Pamiętniku* (s. 25, 176, 199: tu pochwała „pana Kleina”, s. 201). Jest wreszcie filozofia wyboru między większym a mniejszym niebezpieczeństwem jako jedyny sposób obrony.

Wartość
filarów

Wśród relacji Białoszewskiego o takim czekaniu na śmierć jedna zwłaszcza — właśnie poprzez ścisły autentyzm — ma stylistyczny ciężar momentu. Myślę o tej ze schronu na Rybakach, która w całości zbudowana jest na odliczaniu sekund między trafieniem a wybuchem bomby. Nic prawie więcej tam nie ma, słowa informacji o doznaniach psychicznych, tylko mierzona rosnącym szeregiem cyfr pulsacja

Rytm
zagrożeń
i ocalań

rytmu napięcia i ulgi. Albo druga relacja, prawie groteskowa, o uskakiwaniu przed bombami zrzuconymi na pojedyncze ludzkie cele, na ulicy Barokowej: „Co (?) puste, lata, latamy po (?) dole, sali (?), czymś (?), hali (?), co już się zmienia, huczy, brzęka, leciemy, cegły lecą, bombowce paskudzą” (s. 81).

Rytm zagrożeń i ocalań (a jest to przecież stale rytm, bo następstwo dyktowane porą dnia, rozkładem lotów bombowców, seryjnością działania artylerii) to rytm przeżyć zbiorowych: zbiorowego przeżycia, zbiorowej ulgi. Nawet gdy jest to ocalenie pojedynczego człowieka wskutek trafnej intuicji czy szczęśliwego przypadku, fakt taki wpisuje się we wspólną biografię ludzi, którzy, jeśli przeżyli, to właśnie dzięki wielu trafnym intuicjom i szczęśliwym przypadkom. „Wszyscy razem skazani na jedną historię” — mówi Białoszewski (s. 238). Słyszalnym znakiem utożsamiającej jedności sytuacyjnej są chóralne modlitwy i pieśni, *Pod Twoją obronę* śpiewana przez schrony jak potężny kanon, którego głosy włączają się kolejno w miarę jak w podziemnej wędrówce słuchacz mija piwnicę za piwnicą.

Gorączkowa
ruchliwość

Rozśpiewane pod bombami schrony — to statyczna wizja powstańczej Warszawy. Na nią nakłada się druga — gorączkowej ludzkiej ruchliwości: „ludzie musieli zmieniać teren i uznawać coś za gorsze czy lepsze” (s. 179), „moda na pędzenie była cały czas wszędzie” (s. 182), „Pęd! W ogóle. Wszystkie stworzy w przerażeniu pędzą, chowają się, pędzą dalej” (s. 185). Obok Warszawy zastygniętej w grozie schronów, Warszawa ogarnięta paniką: „Ludzie lecieli i lecieli. Potokiem. Ze zbombardowanych domów. Uciekali na Wolę”. I zaraz: „Ludzie wzdłuż murów lecą po naszej stronie Chłodnej do Elektorальной i dalej. Tacy jak wczoraj. Ci sami. Uciekają z Woli” (s. 12).

Półgwarowe warszawskie „latać” wraz z różnymi pochodnymi należy do najczęściej w *Pamiętniku* używanych słów: latanina, lecieliśmy (s.27), polecieli,

wyleciałem (s. 28), leciała (dwa razy), wylatywałem, leciał (trzy razy), podlatywałem, latałem (wszystko na jednej, 112 stronie), lataczka (s. 171), „chodzę sobie biegiem, latam” (s. 177), czy nawet „latać” dla określenia ogólnej aktywności: „(...) nie był takim dekownikiem. Pisałem już, że latał, działał” (s. 176). *Pamiętnik* jest nie tylko relacją zbiorowych zachowań. Jest także dokumentem zbiorowej świadomości, tego, co się w schronach myślało, co się wiedziało o sytuacji ogólnej, jakie krążyły plotki, jakie powstawały legendy, „nie mity — bo przecież żywe prawdy” (s. 91).

Latanie

Rzecz zastanawiająca, w jaki sposób narracja BiałoszeWSkiego, sporadycznie tylko odbiegająca od porządku drobiazgowej biografii powstaniowej autora, jest w stanie pełnić tę funkcję: zdawać sprawę z przeżycia zbiorowego, osiągać taki stopień uogólnienia, być pamiętnikiem pamiętników? Jest to zapewne sprawa narzuconej sobie dyscypliny, starannej selekcji wspomnień, eksponowania w nich tego, co wspólne i powtarzalne. O takim założeniu wspomina autor w przytoczonym na wstępie fragmencie: „(...) nie wchodzę w siebie prawie, czyli jestem jakby od wierzchu”. Nakierowanie uwagi na sytuacje kolektywne realizuje się językowo częstym użyciem nieosobowej formy czasowników: skręcało się, dolatywało, wlatywało się, było się, wpadało się, się przelatywało (s. 60), a także — w sposób bardziej jeszcze dla tego tekstu charakterystyczny — rzeczowników odsłownych: „Dużo uwijania się, ludzi, dźwigania kłusem i latania po następne, i znów. (...) Więc układanie podobne do rzucania” (s. 100), „Dużo było zlatywań i huków. Wstrząsów. Obrywań się. Biegania. Tupotów. Wołań. Wieści” (s. 175).

Dokument
świadomości
zbiorowej

Narracja wyczulona na ludzką zwykłość w sytuacyjnej niezwykłości, na to, co można by nazwać obyczajowością schronów, łatwo rozpaść by się mogła na serie luźnych migawek, gdyby autor nie narzucił swemu „gadaniu” rygorów kompozycyjnych. Za-

Podziały
miasta

sadnicza segmentacja opowiadania wyznaczona jest — jak w całej literaturze o powstaniu — przez podziały miasta: Chłodna, Stare Miasto, Śródmieście północne, Śródmieście południowe. Dramaturgia każdej dzielnicy rysuje się podobnie: początkowy względny spokój, rosnące stopniowo zagrożenie, ostateczna katastrofa (ucieczka). „(...) zaczęło się nagle (...) tak okropne pogorszenie i piekło, że odechciało się wszystkiego” (s. 20), „Zaczęło się źle. To nie to, że dopiero wtedy. (Bo ileś razy zaczynało się źle.)” (s. 92), „To pogarszanie właśnie nie miało dna. Okazywało się zawsze, że może być jeszcze gorzej. I jeszcze gorzej” (s. 135), „Bo wciąż szło na gorsze” (s. 176).

Daty
i miejsca

Na drugą, bardziej istotną zasadę organizacji opowiadania wskazuje sam Białoszewski: „Dla mnie to jest ważne — ta dokładność dat i miejsc (...), to jest moje trzymanie się kupy konstrukcyjnej” (s. 67). A więc porządek dni, godzin nawet, mozolnie, ze stale napiętą uwagą odtwarzany. Te drobne odcinki czasu szczerze, prawie bez luk do siebie przylegają, ważne jest, co wydarzyło się w każdym i jaka była ich kolejność. Nie do pomyślenia jest tu takie np. określenie czasu, jakim posługuje się Dąbrowska w powstaniowej partii swojej powieści: „Mijał tydzień i drugi, nie przynosząc spodziewanego rozstrzygnięcia”³. U Białoszewskiego czas nie może mijać tak gładko, ponieważ czas jest zadaniem do przeżycia. W tej rzeczywistości stanu wyjątkowego poczucie czasu się zmienia: „(...) mały kawałek czasu wydawał się wielki” (s. 57). „Każdego dnia nie można było dłużej. Potem każdej nocy. Potem każdych dwóch godzin. Potem każdych piętnastu minut. Tak. Liczyło się czas bez przerwy” (s. 58).

Poczucie
przestrzeni

Zmienia się również poczucie przestrzeni: „Dziwne, aż dzikie, jak wtedy wszędzie było daleko” (s. 62). Jest to kwestia odcięcia dzielnicowego i trudności

³ M. Dąbrowska: *Przygody człowieka myślącego*. Warszawa 1970, s. 618.

poruszania się po mieście. Ale także kwestia wagi każdego domu i przejścia, tak bliskiej symbiozy człowieka z ulicą, tak intymnego obcowania z brukiem i ścianą, jakie jest niedostępne normalnym mieszkańcom normalnych miast. Zabudowa miejska zmienia funkcję, wywiera na człowieka nacisk, staje się jego partnerem w grze o życie. Precyzja *Pamiętnika* w odtwarzaniu każdego załamka muru wynika z tego nowego znaczenia załamów muru: w tej topografii — powiada autor — „nie tylko będzie chodziło o ścisłość, ale i o życie” (s. 52). Topografia jednak sama ulega nieustannym zmianom: rozpadają się domy, nikną kontury ulic, człowiek żyje w przestrzeni dramatycznie przekształconej. Topografia i czas określają się więc wzajemnie, proces niszczenia miasta wyznacza daty, daty pozwalają uchwycić dynamikę tego procesu. Porządek wspomnień Białoszewskiego to zarówno porządek dni sierpnia i września, jak i porządek architektury warszawskiej: co jeszcze wtedy stało, co już było spalone, zburzone. Ileż w *Pamiętniku* tej architektury, zabytkowej i czynszowej, oglądanej od frontonów, podwórek, klatek schodowych, piwnic, przejść górą i dołem, przez wykute w murach dziury. Aż po fakturę gruzów: „Z wapna, trzciny, desek, cegieł. (...) Z tego była cała Warszawa. (...) W ogóle — Warszawa zdradzała się ze wszystkich swoich sekretów” (s. 115). Epika dekompozycji miasta, kilkutygodniowego — jak film puszczony od końca i w przyspieszonym tempie — rozpadania się tego, co budowane było przez setki lat.

Dziś te strony czytać trzeba z planem przedwojennej Warszawy w rękę, aby sprostać dokładności opisu nieistniejących ulic i domów.

Relacja Białoszewskiego spisana po dwudziestu przeszło latach nie udaje ani dziennika, ani zapisek robionych tuż po powstaniu. Przeciwnie, autor eksponuje dystans czasowy i trud rekonstrukcji wydarzeń. Odsłania przed czytelnikiem żmudną pracę nad

Epika
dekompozycji
miasta

Autotematyzm
Pamiętnika

ustalaniem dat, lokalizacją faktów, prostuje własne niedokładności, nie ukrywa wahań i luk pamięci. Opowiadając o powstaniu, mówi Białoszewski o technice formułowania swojej opowieści; *Pamiętnik* jest pamiętnikiem i książką o pisaniu pamiętnika. Przedmiotem tego autotematycznego komentarza nie jest jednak to, co się dzieje w świadomości piszącego, ale to, jak było naprawdę w Warszawie w 1944 r. Nie proces pisania, ale proces odtwarzania dat, miejsc, zdarzeń („to szamotanie pamięci”, s. 237). Dlatego informacja o tym, jak powstawał pamiętnik, nie osłabia jego wiarygodności, przeciwnie, wiarygodność tę potęguje, pełni funkcję analogiczną do tej, jaką w historiografii krytyka źródeł. To jest epika. W komentarzu zawiera się rachunek sumienia kronikarza z obowiązku wierności historii.

Zapach,
barwa
i dźwięk

W tym świecie na opak, jakim jest walące się miasto, tracą moc zwykle hierarchie ważności. Sfery życia normalnie neutralne nabierają nowego znaczenia, środowisko stawia człowiekowi opór, nic nie dzieje się automatycznie, każdy akt ludzki jest świadomym wysiłkiem. Nie ma spraw błahych ani przedmiotów obojętnych. *Pamiętnik* Białoszewskiego nabity jest po brzegi szczegółami życia i fragmentami miasta, wypełniony obserwacją — jakże precyzyjną — światła i zapachu, barwy i dźwięku. Smak gruzu w ustach, odgłos osypujących się cegieł, dotknięcie oślizgłej ściany kanału, kontakt zmysłowy, mięsniowy z miastem, które staje się ruiną, czujny jak u zwierzęcia, patetyczny jak u człowieka, który wie, że to właśnie jest historia. Jak można było tak dokładnie zapamiętać i opisać ten świat jednego momentu?

W tym dokumencie, który nie chce być literaturą, żeby nie skłamać, a dlatego właśnie jest wielką literaturą, autentyzm historii jest zarówno autentyzmem wizji, jak i autentyzmem środków językowych jej kreowania. Szokujące spięcie między niedbałym (pozornie), kolokwialnym sposobem opowiadania

a tematem: tragedia powstania narodowego, zagłada milionowego miasta. Rzecz w tym, że dla Białoszewskiego powstanie warszawskie nie jest jednym z powstań, jednym z tragicznych epizodów wojennych. Jest czymś zupełnie odrębnym i niepowtarzalnym, podstawowym przeżyciem, które kształtuje biografie i sprawia, że mówi się o pokoleniu powstania warszawskiego. Konwencje prozy podniosłej, które obsługiwały już tyle dziejowych wydarzeń, zatarłyby tę odrębność, włączyłyby rok 1944 do serii innych dat. Dla takiej daty poza serią, rozmiijającą się z regularnym ciągiem dziejów, nie nadają się reguły pisania o seryjnych wypadkach historii. Dlatego Białoszewski odsuwa prawidła, chwytą swój temat od innej strony.

Racje
kolokwialności

Dokumentem pokoleniowym jest sam sposób opowiadania: powściągliwy uczuciowo, „zagadujący” historię, surowy dla wszystkiego, co nie jest konkretem. Ten język boi się wielkich słów. Ten język jest narzuconą sobie samemu postawą obronną, próbą ocalenia normy, gdy wszelkie normy przestają obowiązywać, jedyną nadzieją myśli, która lęka się chaosu. Tak właśnie mówiło pokolenie obciążone obowiązkiem hamowania własnych reakcji, zachowania dyscypliny wewnętrznej, „trzymania się” mimo wszystko.

Język
pokolenia

W kontekście krótkich, urywanych, byle jakich zdań *Pamiętnika* zdania rozwinięte, dłuższe i bardziej składniowo uporządkowane pełnią funkcję stylu wysokiego. To, co jest tradycyjną normą prozy literackiej, tutaj jest sygnałem patosu. Zdania takie pojawiają się u Białoszewskiego z rzadka i na krótko: autor natychmiast tłumi ich rezonans liryczny. Wskażę na dwa przykłady:

„Mój Boże! Ile w tej Warszawie było wtedy dobroci. Po prostu dobroci. Ile!” (s. 232). Trzeba było całych strom zdań potocznych i sprawozdawczych, aby tak ubożuchnymi środkami stylistycznymi osiągnąć taki

wzrost napięcia emocjonalnego, od razu zresztą zgaszony powtórzeniem: „Ile!”

„Nie uchronili nas nasi królowie. Ani myśmy nie uchronili naszych królów. Tego, co po nich. Wszystkiego. Wszystkiego.

O moja Piwno! Od Augustianów! Od nieszporów! Psalmów. I Siedmiu Boleści” (s. 135).

Zostaną te
zdania

Zostaną te zdania w pamięci polskiej. Obok tych, że „jest u nas kolumna w Warszawie” i tych o warszawskim kamieniu brukowym, o „krwi i łzie”, co na nim świecą. I obok tych najbardziej patetycznych o „żałośniei wdowie polskiego ludu”.